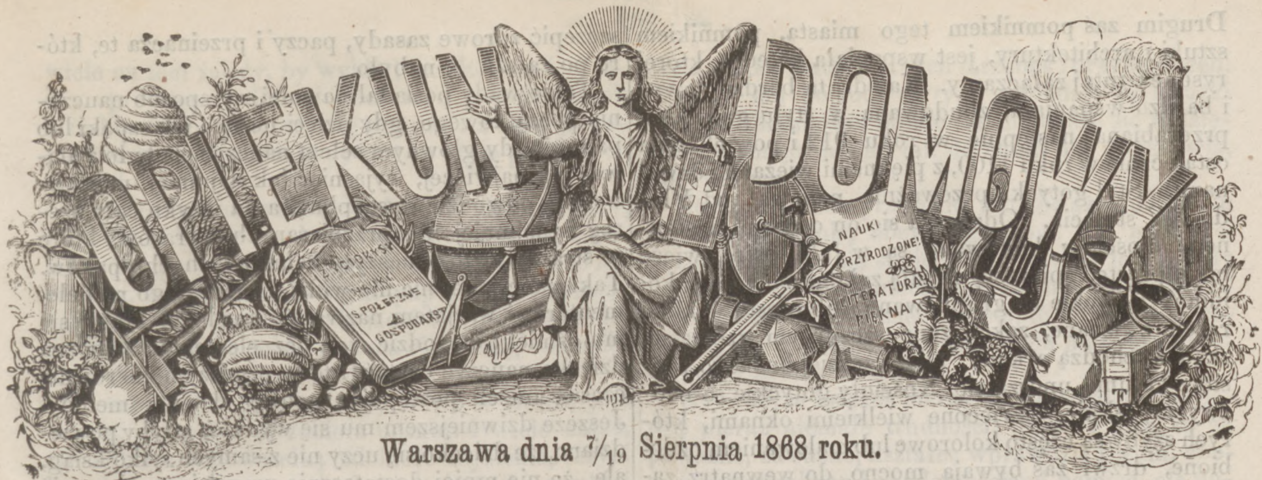


Warszawa dnia 7/19 Sierpnia 1868 roku.

Nr 33. | Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji w opaskach 75 kop. w kopertach Rs. 1. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. | Rok IV.

KATEDRA w ROUEN.

Rouen (Rue) jest miastem, jeżeli nie wielkiem, to pamiątkowem we Francyi. W roku 1431 w mieście



Katedra w Rouen.

tem spalili Anglicy Joannę d'Arc, znaną pod nazwą Dziewicy Orleańskiej, w dziejach Francyi, za czasów Karola VII i wojen z Anglikami. Wpływ Dziewicy Orleańskiej na losy francuzkiego narodu dobrze jest znany, a wdzięczni jej rodacy wznieśli pomnik na miejscu jej kaźni, na pamiątkę jej waleczności, poświęcenia i nieskażonej wiary. Spalenie więc Joanny d' Arc jest dziejowym pomnikiem Ruenu.

Drugim zaś pomnikiem tego miasta, pomnikiem sztuki i architektury, jest wspaniała katedra, której rysunek tutaj załączamy. Katedra ta bardzo dawna i bardzo wspaniała, zbudowana w stylu gotyckim, przerabiana następnie w roku 912 i powiększona ostatecznie w roku 1100, z pięknemi wieżami i dzwonami. Styl gotycki przeważnie panował od VIII do XV stulecia. Odznacza się on cechami następnemi: kościoły budowane są w łuki ostre, wieże mają proste i śpiczastą strzałą zakończone; dalej kolumny gotyckie są gruppowane lub często w kilka razem związane, zakończone szczupłym gzémsem, zkąd wychodzą arkady, albo częściej bez tego prosto z kolumn unoszą się. Kościoły gotyckie są nadzwyczaj lekkie, oświecone wielkiemi oknami, których szyby są często kolorowe lub malowaniem ozdobione, drzwi zaś bywają mocno do wewnątrz zagłębione i oddrzwia ich ostatecznie kolumnami, framugami i innemi ozdobami przeładowane.

Wracając jeszcze do miasta Ruen, powiemy, że leży ono w Normandji, liczy do 130,000 mieszkańców, ma piękny most łyżwowy, rozumie się drewniany ale brukowany, co także należy do osobliwości, dalej że ma uniwersytet, wiele szkół, muzeum i liczne rękodzielnie i fabryki, mianowicie wyrobów bawełnianych, nankinu i piki, kartonu, szalów, obić, cukru, papieru, towarów mosiężnych, miedzianych i wielu innych; nakoniec że jest ojczyzną Piotra Kornela (*Corneille*), znakomitego pisarza dramatycznego francuzkiego. Napisał on wiele komedyi jak: *Wdowa* (La veuve), *Kłamca*, *Miejsce Królewskie*, (La place royale) i kilka innych, ale najwięcej zasłynął tragedjami, których napisał kilkanaście— a z których takie jak *Cyd* (Cid), *Horacjusze*, *Cinna*, *Polyeucte* i inne, tłómaczone były na wiele języków europejskich. Polska literatura ma tłumaczenia *Cyda i Cynny* — pierwszego przez Morsztyna i Ludwika Osińskiego, a drugą przez Osińskiego — nadto ksiądz Godlewski przetłumaczył tragedję *Polyeukta*.

SŁÓWKO O POCZĄTKOWEM NAUCZANIU.

Słusznie to nasze stare przysłowie mówi, że czem się skorupka za młodu napije, tem i na starość trąci. Jaką kto w dziecińswie odebrał naukę, jakie zasady zdołano w nim zaszczepić, takie też w późniejszym wieku owoce przynosić będzie.

Od początkowego wychowania cała nasza przyszłość zależy. Jeżeli dobrze przetrawim pierwiastkowe nauki, bądź w szkółce domowej, bądź przez nauczycieli prywatnych udzielane, wówczas łatwiej nam będzie przejść cały obszar wyższych nauk, łatwiej nabytą wiedzę do praktyki życia zastosować. I przeciwnie, jeżeli szczupły zakres elemetarnej nauki przekroczymy jednym skokiem, bez dokładnego zgłębienia każdego przedmiotu, naówczas obmierznie nam nauka, obrzydnie trud, staniem się niedowarzonymi półgłówkami, nieumiejącymi dać sobie rady w życiu.

Wątpliwości nie ulega, że wiele tu zależy od samych uczących się. Wszakże i to pewna, że niemałą tu gra rolę metoda, t. j. sposób początkowego nauczania. Im ta metoda jest prostsza, jaśniejsza, przystępniejsza do pojęcia uczniów, tem naturalnie lepiej i korzystniej na uczącego się oddziaływa; gdy przeciwnie, metoda nie posiadająca powyższych warunków, nie tylko, że zniechęca dziecko do nauki, ale nadto przytępia częstokroć jego umysł, zamiast szczepić zdrowe zasady, paczy i przeinacza te, które po za szkołą nabyło.

Takie wady posiadał dawniejszy sposób nauczania początkowego, gdy dzieci uczono jak szpaki lub papugi, gdy głównym celem nauczyciela było zadawać jak najwięcej, wyjaśniać jąk najmniej, mieć zawsze w odwodzie dyscyplinę, a na języku cały szereg bynajmniej nie przebieranych wyrazów, które to straszyły, to śmieszyły zahukanych chłopaków. Taki nauczyciel nic nie widział mędrszego nad elementarz, i warjatem nazwałby każdego, ktoby się mu ośmielił dowodzić, że i bez elementarza można dziecko nauczyć czytać, i to w prędszym nierównie czasie, aniżeli postępując podług dawnej metody. Jeszcze dziwniejszem mu się wydało, gdyby powiedziano, że dziecko się uczy nie z samych tylko ksiąg, ale, że nie mniej dostatecznie umysł jego zbogacić można opowiadaniem, rozmową, pokazywaniem rysunków, tłumaczeniem zjawisk natury i t. p.

Dziś, jak się zdaje, nauczycieli tego rodzaju znalazłoby się nie wielu, ale to pewna, że dawniejsza metoda tu i owdzie znajduje jeszcze zastosowanie, a nawet wielu liczy zwolenników. Dzieje się to sposobem bardzo naturalnym, łatwym do pojęcia, bo stare przyzwyczajenia zawsze są trudne do pozbycia, a najlepsze nowości budzą w początkach pewne niedowierzanie.

Nowa metoda zresztą, i to ma jeszcze do siebie, że wkłada na nauczyciela więcej pracy, a jednocześnie większego wykształcenia wymaga. Ucząc podług starej metody, nauczyciel działał prawie machinalnie, gdy przeciwnie, podług nowej, nic mu bez rozmysłu przedsięwziąć nie wolno.

Metoda ta przedewszystkiem unika wszelkiej pedanterji. Podług niej dziecko nie pierwej obarczać należy naukami, aż z wieku dziecinnego przejdzie w młodzieńczy, co nastąpi dopiero w 7-m roku życia. Wczesne bowiem nauczanie, jak się ostatecznie o tem przekonano, przytępia umysł dziecinny i odstręcza od nauk. Nawet liczba godzin lekcji powinna być bardzo ograniczona: w pierwszym szczególnie roku czas nauczania nie ma być dłuższy nad 3 godziny dziennie, i to z przerwami kilkunasto-minutowemi. Dziecko tym sposobem nie obciąży się nauką—owszem, samo tęsknić do niej będzie.

Lecz czem się stanowczo nowa metoda od poprzednich wyróżnia, to tem, że nie od elementarza rozpoczyna początkowe nauczanie. Owszem, by wychowanie osiągnęło zamierzony cel, by dziecko z rozgarniętym już umysłem do nauki przystąpiło, dobrze jest, jeżeli przed wejściem jeszcze do szkoły elementarnej, a choćby po wejściu, poznało tak zwaną: metodę Froeblowską, zasadzającą na rozwijaniu umysłu dziecięcego przez odpowiednie użycie rozmaitych zabawek. Szczupłość miejsca nie dozwala nam wdawać się w szczegółowy opis tej metody, o której w numerze poprzednim było już słów kilka; to więc tylko powiemy, że dziecko tam bawiąc się—uczy, układając sześciany z drzewa i rozmaite inne geometryczne figury, wdraża się do ładu i myślenia;robiąc z papieru misterne plecionki, przyzwyczaja się do cierpliwości i t. d.

W szkółce rozpoczyna odrazu naukę czytania, pisania, liczenia, rysunków i opowiadania. Ta rozmaitość przedmiotów, udzielanych naturalnie w bardzo szczupłym zakresie, tę wielką ma zaletę, że nic nie nuży dziecięcia, lecz owszem, ciągłą mu rozrywkę sprawia. Nie potrzebujemy tu dodawać, jak

wiele na tem zależy, by wykład nauczyciela był jasny, przystępny dla młodocianego pojęcia uczni; wszakże lekcje powinny się odbywać z całą powagą, bez żadnych śmiechów, żartów i tym podobnych wybryków.

Przy początkowych lekcjach wiele na tem zależy, by wykład był ustny, bo nic tak nie wraża się w pamięć, jak żywe słowo. Zresztą wykład taki i to ma za sobą, że z ucznia nie czyni papugi, powtarzającej tylko słowa, a nie wnikającej w myśl przedmiotu, lecz wprawia go do zastanawiania się, rozumienia i pamiętania tego, co słyszy.

Uczenie się zaś na pamięć, słowo w słowo, jota w jotę, nie tylko, że zabiera uczniowi wiele czasu, ale odbiera mu wszelką zdolność myślenia, czyni bezmyślną maszyną, obudza niechęć do nauki i szkoły.

Godłem dawniejszej szkółki elementarnej była rózga. Obecnie jedni zupełnie ją usuwają, inni tylko w ostateczności pozwalają do niej się uciekać. A i wówczas nawet chcą, by kara ta nie była zbyt dotkliwą, by się nie powtarzała często, by się odbywała z zachowaniem wszelkich warunków przyzwoitości i sprawiedliwości. Również szkodliwemi a może szkodliwszemi jeszcze są kary, wystawiające uczniów na pośmiewisko całej szkółki. Do takich zaś należą: ośle uszy, stanie na jednej nodze z podniesionemi rękami i t. d.

Pierwsze lekcje należy rozpoczynać w sposób jak najprzystępniejszy dla młodocianych umysłów, bawiący prawie. Na pierwszy raz dość im pokazać kilka rysunków, wyjaśnić takowe, opowiedzieć coś zajmującego i t. p. Następnie w sposób najprostszy, więc za pomocą kropek kreślonych na tablicy lub papierze, wskazać uczniom pierwsze zasady rachunku, a przez połączenie tych kropek linjami—dać im wyobrażenie rysunku.

Naukę czytania podług nowej metody rozpocząć należy współcześnie z nauką pisania. Szczupłość miejsca nie dozwala nam szczegółowo rozpatrzeć tej najciekawszej części elementarnego nauczania; to tylko powiedzieć winniśmy, że nauczyciel najprzód daje poznać uczniom tak drukowane, jak i pisane samogłoski. Dzieci jednocześnie uczą się wymawiać i pisać. Następnie odszukują brzmień samogłoskowych w wyrazach jednozgłoskowych i t. d. Tym sposobem przychodzą do poznania syllab, a ztąd łatwy już przeskok do spółgłosek, które dopiero w połączeniu z samogłoskami stanowią brzmienie. Metoda ta oprócz tego, że jednocześnie wprawia do czytania i pisania, że uczy wyraźnego wymawiania dźwięków mowy, tę jeszcze ma zaletę, że w ciągu trzech lub pięciu miesięcy wyucza dziecko czytać mniej więcej płynnie; gdy przeciwnie, trzymając się starego sposobu, zaledwie po upływie roku cel ten osiągnąć możemy.

W dalszym ciągu trzechletniej nauki (bo taki właśnie jest zakres nauk początkowych), nauczyciel wykłada uczniom pierwsze zasady arytmetyki, początki kościelnej i krajowej historji, wiadomości o ziemi i świecie, o zwierzętach, roślinach, rozmaitych ludach i t. p. Nie zaniedbuje też przytem obznajmiać ich z gospodarstwem wiejskiem, ogrodnictwem, leśnictwem, pszczolnictwem, jeżeli szkółka jest na wsi; a z technologją, fabrykami, przemysłem i handlem, jeżeli szkółka w mieście. Przy wykładzie tych wszystkich nauk stara się przedewszystkiem o zastosowanie każdej wiadomości do praktyki, do życia, unika fantastycznych mrzonek i przypuszczeń. Wielką mu pomocą w tym względzie są książki i pisma obrazkowe, bo nic tak nie wraża się w dziecinną pamięć, nic go tak do nauki nie zaciekawia, jak rysunek.

Nowsza metoda przeciwną jest obciążaniu umysłu dziecięcego nauką obcych języków. Co najwięcej pozwala na uczenie się jednego języka, lecz nigdy dwóch lub trzech jednocześnie. Nadto, wówczas dopiero można bezpiecznie przystąpić do nauki obcego języka, gdy się pozna dokładnie pierwsze przynajmniej zasady własnego.

W wyborze książek do czytania dla dzieci, zachodzą nieraz niemałe trudności. Jedne z nich są za poważne, za suche, kształcą wprawdzie rozum, zbogacają potrzebnemi wiadomościami pamięć, ale nudzą wkrótce dziecko, zniechęcają je do książki i nauki. Inne przeciwnie, bawią, zajmują, obudzają ciekawość, ale znowu za nadto są lekkie, zbyt powierzchowne, podbudzają imaginacją, ale umysłu nie kształcą. Otóż najlepiej trzymać się pośredniej drogi: z rana, gdy umysł jest świeży i swobodny, dawać do czytania książki lub utwory pierwszego rodzaju; po obiedzie zaś, najwłaściwszemi będą drugiego. Tym sposobem i umysł i serce jednakowo będą się kształcić, a dziecko nie uczuje wstrętu do książki, lecz prawdziwego w czytaniu zamiłowania nabierze.

Takie to są główne zasady metody początkowej, które dla szczupłości miejsca przedstawiliśmy tu w zarysie, odsyłając ciekawych do zajmującej broszurki pana *Wincentego Dawida* p. t. „*Metoda początkowego nauczania*", która w tych czasach prassę opuściła. Polecamy ją tem mocniej naszym czytelnikom, że pomiędzy wielu zaniedbanemi u nas rzeczami, nauka pedagogji najwięcej bodaj jest zaniedbaną.

M. K.

KARTA DZIEJOWA.

Trzymasz Władysiu! drukowaną kartę,
Wiatr ci nią w dłoni szeleszcze,
Ty się tém bawisz, nie pojmując jeszcze
Jakie w niéj tajnie zawarte.

Jako ten chłopczyk, co w przepaść bezdenną,
Zanurzał zuchwałe oko,
Bo nie rozumiał, że otchłań głęboką,
Jest nieprzejrzaną i ciemną.

Igrał niebacznie pośród skał urwiska,
Taki wesoły i dumny,
Nad brzegiem bezdeń, śmiał się obok trumny,
Znając ją ledwie z nazwiska!

I dla cię także równie jest nieznana,
Przeszłość, co we mgłach się chowa,
Bawi cię karta a karta dziejowa,
Wypadkiem z księgi wyrwana.

Pomnij, że dzieje, to ludów cmentarze,
To pełne groby ich kości,
Gdzie czczą genjuszów, w obec potomności,
Stawiąc im z śpiżu ołtarze.

Związane one w wieniec nieśmiertelny,
Z ogromu prac i zapału,
Z krótkich tryumfów i pychy bezmiernéj,
I z bohatérstwa i z kału...

Wszystko tu żywe, choć jak w grób zawarte,
W te wielkie historyi księgi;
Raz zapisane, dla wszelkiej potęgi,
Zostają głoski niestarte....

Kochaj Władysiu! dziwne stare dzieje,
Czcij je jak relikwie święte,
Karty ich na wskroś krwią ludów przejęte,
W nich życie wieków wciąż tleje.

Wsłuchuj się pilnie niby w wichrów szumy.
Gdy łamią dębów konary,
Patrz! jak ku światłu idzie ten świat stary,
I wiedzie narodów tłumy!

Liljana.

NA GORĄCYM UCZYNKU.

Kartka z kroniki kryminalnej.

(Ciąg dalszy.—patrz N. 32-gi).

Dzieje tej drugiej miłości już znamy.

Nowej wybrance swojej przysiągł zmianę postępowania, i nie dotrzymywał przysięgi, łamać ją zaczął jednak dopiero wtedy, gdy go wyrzuty sumienia dręczyć zaczęły.

A przyszło do tego w zupełnie niespodziewany sposób.

Jednego dnia idąc ulicą, spostrzegł tę samą służącą, która odniosła kiedyś ów list mniemanego barona Wąkoskrońskiego do Marji.

Dziewczyna przystąpiła do niego i zaczepiła go:

— A może i pan ciekawy, jak pan Cytryński? — rzekła pokazując mu jakiś papier.

— Cóż to takiego?—rzekł machinalnie otwierając pismo.

— Niech pan przeczyta.

Krótki bilecik zawierał tylko kobiecą ręką nakreślone zaproszenie przyjaciołki, adresowane do Marji, z prośbą o odwiedzenie jéj w chorobie.

— Nic mnie to nie obchodzi;— odrzekł Opędzki, składając list i oddając go służącej.

— A ja myślałam,—rzekła dziewczyna,—bo pan Cytryński to mi zawsze rubla płacił za pokazanie każdego bileciku mojej panienki do panny Marji, a raz nawet, wtenczas kiedy pan był u niego, kazał mi czekać, i za przeczytanie takiéj kartki dał mi pięć rubli. Wtenczas pamiętam, kazał mi tylko, żebym oddając bilecik powiedziała, że moja panienka na wszystko co najdroższe zaklina pannę Marję, żeby przyjeżdżała natychmiast.

Słowa te były dla Opędzkiego wyjaśnieniem brudnej intrygi. Żeby się jeszcze lepiéj upewnić, zadał służącéj kilka pytań:

— Powiedz mi, moje dziecko, gdzie mieszkasz?

— Na Lesznie, w drugim domu przed Karmelicką.

— Panna Marja często bywa u twéj panienki?...

— Parę razy na tydzień.

— Tego dnia, kiedy pan Cytryński dawał ci pięć rubli, czy ci nie kazał także oddać pannie Marji jakiego zapieczętowanego listu.

— Widziałam, że list jakiś schował do kieszeni, ale mnie oddał tylko tę samą kartkę, co moja panienka pisała i kazał zakląć pannę Marję na wszystko, żeby natychmiast przyjeżdżała.

Takim sposobem Opędzki się dowiedział, jak haniebnym podstępem oszukał go Cytryński, i jak niegodnej potwarzy padła ofiarą biedna Marja.

Powinien był powrócić do niéj i błagać przebaczenia, zwracając jéj honor wydarty.

Nie uczynił tego. Z jednej strony słabość charakteru, nie pozwalała mu zdobyć się na krok stanowczy, z drugiej widział, że podupadły jeszcze bardziéj, gonił już resztkami i nie chciał się wyrzekać korzyści uplanowanego bogatego związku.

Czuł że dwakroć popełnił podłość, — najprzód nadużywając słabości i zaufania Marji, teraz niedopełniając obowiązku naprawienia wyrządzonéj jéj krzywdy. Sumienie go dręczyło, i aby zgłuszyć jego głos zaczął szukać palących wrażeń w grze, a nie chcąc jawnie łamać danego słowa, starał się wynajdować miejsca pokątne, i to go prowadziło do Ostrugiewicza, którego zakład dał mu kiedyś poznać Cytryński.

Dalszy przebieg jego losów już znamy, a nie widzimy potrzeby powiadać, że starcem, który na posiedzeniu sądowem nie mógł stłumić w swej piersi wydzierającego się z niej wyroku potępienia, był dziadek nieszczęśliwéj Marji.

XX.

Wysłuchawszy tych zwierzeń samego siebie, dwaj przyjaciele uznali go takim jak był w istocie, to jest więcej słabym niż winnym, a więc zasługującym na pobłażanie i współczucie. Opowiadanie Opędzkiego nietylko nie zmniejszyło żywej ich chęci dopomożenia mu, ale jeszcze wskazało im moralny obowiązek podania ręki człowiekowi, który wolności swojej mógł użyć na naprawę popełnionych błędów, na wynagrodzenie krzywd zrządzonych.

Mimowolnie jednak, kiedy Opędzki skończył, pan Soter zapytał:

— Cóż pan uczynisz jak będziesz wolnym?...

Opędzki podniósł się na łóżku, wyciągnął ręce do obu przyjaciół, i uścisnąwszy podane ich dłonie rzekł:

— Moi dobrzy przyjaciele... jesteście sami ludzie... pojmuję was, wiem jakie wrażenie zrobiło na was wyznanie moje, a chociażbym go nie odgadywał, to pytanie, co pocznę jak będę wolnym, wytłumaczyłoby mi wszystko. Słuchając mej spowiedzi, musieliście sobie powiedzieć: „warto się starać, żeby ten człowiek wolność odzyskał, ale tylko w takim razie, jeżeli da nam jakąś rękojmią, że téj wolności użyje na to, co użyć powinien.” Nie przerywaj, panie Soterze... pozwól mi skończyć. Jeżeli tak myślicie, myślicie słusznie. Takiéj rękojmi odemnie żądać macie prawo, i macie prawo, gdy wam jej nie dam, pozostawić mnie memu smutnemu losowi, a ja przecież dać jej nie mogę. Przyszłości mójej wskazówką może być dla was tylko przeszłość moja. Na co by się zdało, gdybym się zaklinał i przysięgał, że tak postąpię, jak mi obowiązek sumienia nakazuje? Mogęż ręczyć za siebie, że będę miał dość silnej woli; mogęż być pewnym, że kilka miesięcy samotności więziennéj przekształciło mnie i uleczyło?... Kto wie, może nazajutrz po uwolnieniu zapomnę o tem co przedumałem tutaj, com przecierpiał i owiany powietrzem odzyskanej swobody, stanę się takim jakim byłem, jeśli nie gorszym. Wiem co powinienem uczynić, jak stąd wyjdę, wiem że chciałbym to uczynić co powinienem, ale czy to uczynię, nie wiem. Nauczyłem się w tem więzieniu oceniać swoje własne postępowania, i doszedłem do przeko-

nania, że ze wszystkich ludzi na których liczyć można niewiele najmniej i ja i ludzie liczyć mogą—na mnie. Przez całą młodość moją byłem nieskończenie często narzędziem okoliczności lub ludzi a bardzo rzadko, nigdy prawie, nie okazałem się silnym, energicznym, prawdziwie godnym tego nazwiska człowiekiem. Gdybym chciał ręczyć, że teraz nie stanę się, jak stałem się tyle razy, powolnym wykonawcą kaprysu, trafu lub złej woli, mniej byłbym chyba zarozumiałym lub obłudnym, a dziś przed wami ani jednym ani drugim być nie chcę.

Nie wiedzieć czemu, to wyraźne podanie w wątpliwość siebie samego, silniéj jeszcze przeświadczyło pana Sotera i pana Antoniego o moralnem odrodzeniu Opędzkiego. Nie mogli zdać sobie sprawy z tego, słysząc go jednak wyznającego szczerze, że sobie samemu nie ufa, więcéj jeszcze ufności powzięli do niego i bardziéj weń wierzyć zaczęli, niż gdyby śmiało i stanowczo, lecz słowem tylko, bo nie mógł inaczéj, zaręczył, że odzyskanéj wolności na dobre użyje.

Zresztą, gdyby nawet nie nabrali tego przekonania, panowie Kukuli i Fiksz nie uznaliby się za uwolnionych od obowiązku dołożenia wszelkich godziwych usiłowań, ażeby mu powrócić wolność. Powiedzieliby sobie wówczas, że nie do nich należało sądzić o tem, jaki użytek zrobi Opędzki z tego co mu się niezaprzeczenie należy, i że dłużnika nie uwalnia bynajmniej od wypłaty długu moralne przekonanie, że wierzyciel odebraną należność na złe obróci.

Zaraz też następnego dnia zakomunikowali wszystkie swoje odkrycia adwokatowi Opędzkiego.

Obrońca, który w toku sprawy sam nabrał wewnętrznego przekonania, że Opędzki winnym nie jest, a przynajmniéj miał zawsze wielką wątpliwość o jego winie, przyjął tę wiadomość z prawdziwem zadowoleniem. Nie taił, że dyskrecja względem Ostrugiewicza utrudni postępowanie sądowe, nie miał jednak bynajmniej za złe Opędzkiemu, że na tej drodze bronić się nie myśli, a nawet uznał, że gdyby zgodził się na tego rodzaju zeznanie, podałby w wątpliwość swój charakter, a zatem tylko zaszkodziłby sobie.

— Z tem wszystkiem, dodał, nie powinniśmy łudzić ani siebie, że wam się powiedzie kampanja, którą rozpoczynamy, ani Opędzkiego, że z pewnością liczyć może iż będzie wolny. Nie trudno panom pojąć, jaka jest powaga rzeczy osądzonej, zapadłego wyroku, zwłaszcza takiego, od którego skazany uporczywie i stanowczo apelować nie chciał. Mamy wprawdzie faktyczne dowody, zbijające największą część i to największych motywów wyroku, poszlaki, które po obaleniu tych motywów pozostałyby jeszcze, są nic nieznaczące, mimo to przecież możemy być pewni odpowiedzi, że gdyby wyrok, choć najsłabiej umotywowany, był niesłusznym, skazany z pewnością by go nie przyjął. Dlatego, zdaniem mojem, najwłaściwiéj byłoby wystąpić z tego punktu, że skazany jedynie z powodu chorobliwego stanu, w jakim zostawał, zrzekał się prawa apelacyi, i że zrzeczenie się jego, jako nie będącego w możności w owéj chwili dokładnie zbadać następstw swego kroku, nie może być uważane za prawne.

W tym duchu obrońca wygotował podanie i poszedł do Opędzkiego, żądając od niego podpisu.

Bohatér nasz tą razą prawdziwie po bohatérsku się znalazł.

— Takiego aktu podpisać nie mogę — odrzekł stanowczo.

— Dla czego panie?... Wszak byłeś chory i nie możesz zaręczyć, że będąc zdrowym postąpiłbyś tak samo.

— Przeciwnie—jestem najmocniej przekonanym, że nie choroba, ale wewnętrzne przeświadczenie, iż powinienem się poddać karzącej ręce Opatrzności, skłoniło mnie do przyjęcia wyroku.

— Choćby tak było, nikt panu za złe nie weźmie tego podpisu.

— Ja sam wziąłbym go sobie za złe, — to dosyć.

Obrońca spojrzał w oczy swego klijenta i wyczytał w nich wyraz silnego, niezłomnego postanowienia.

— Panie Opędzki,—rzekł,—odmowa ta podwaja trudności zrobienia czegokolwiek dla pana, ale zarazem podwaja szacunek, na jaki zasługujesz. Bądź pan pewnym, że i bez tego podania, rozpocznę twoją sprawę, i będę się starał zrobić co można, a może się uda zrobić wszystko.

Usilnym staraniom adwokata przypisać należy, że bezzwłocznie w sprawie Opędzkiego, w sprawie już osądzonej, rozpoczęto dodatkowe śledztwo.

Bezstronność wymagała, żeby ani pana Fiksza ani pana Kukulego nie pociągać do nowych zeznań. Zeznania ich pierwotne pozostać musiały w swojéj mocy. Świadcząc na nowo, jako główni motorowie nowego kierunku sprawy i odkrywcy dowodów przemawiających na stronę Opędzkiego, mogliby mimowolnie, pod wpływem nabytych później wiadomości i wrażeń, zmniejszać i osłabiac doniosłość swych pierwszych zeznań.

Najpierwszego zatem powołano Piotra Ciupskiego. Zeznanie jego dotyczyło tylko znaczonych pieniędzy, oraz tego co zaszło w dniu pierwszym Czerwca u Ostrugiewicza. Zeznania tego nie mamy potrzeby powtarzać czytelnikom naszym w całości, powiemy tylko, że nie było w niem wzmianki, że Ostrugiewicz utrzymywał formalny dom gry, gdyż o tem Ciupski zupełnie nie wiedział.

Przesłuchanie to było nadzwyczaj szczegółowe i prowadzone z bardzo naturalną ze względu na okoliczności ostrożnością, a nawet podejrzliwością. Inkwirent potrzebował nabyć przekonania z jednéj strony o prawdziwości podawanych faktów, z drugiéj o bezstronności świadczącego, którego bardzo łatwo można było, nie ze względu na osobisty jego charakter, ale z uwagi na tok sprawy, ponawiać o dobrowolną lub mimowolną ale zawsze niedopuszczalną przychylność dla oskarżonego, i z góry powzięty zamiar zeznawania tylko na jego korzyść.

Kilka pytań wskazujących tę staranność badani a, winniśmy koniecznie powtórzyć.

— Czy pan możesz zaświadczyć, że wszystkie dukaty jakie się znajdowały na stole w czasie gry, oprócz trzech, wygrał rzeczywiście skazany Józef Opędzki?... pytał inkwirent.

— Nie,—odpowiedział Ciupski, — nazwisko wygrywającego nie jest mi wiadomem, przypominam sobie tylko jego fizjognomją.

— Podyktuj pan do protokółu jak najszczegółowszy, o ile możesz, rysopis tego gracza.

Ciupski dyktował najsumienniej szczegóły.

— A teraz powiedz pan, nie zapominając o tem, że świadczysz pod pieczęcią przysięgi, której całą świętość i ważność pojmować powinieneś, czyś od

gracza, lub jego portretu, lub kogoś uderzająco doń podobnego?...

— Nie widziałem nigdy i nigdzie.

— Jesteś pan pewnym, żebyś go poznał?

— O ile człowiek czego pewnym być może i o ile się nie zmienił.

— Jak był ubrany?...

Ciupski opisał ubranie.

— Wracając do owego pana, co przyszedł wcześniej i przegrywał złoto, nie widziałeś pan podobnież gdziekolwiek później, albo jego samego lub jego portretu, lub kogoś uderzająco doń podobnego?...

— Nie.

— Poznałbyś go pan?

— Zapewne... w ogólności mam szczególną pamięć rysów, i jak kogo raz zobaczę łatwo poznaję.

— Jaką miał kamizelkę?

— Czarną jedwabną w białe kwiatki.

— Nie mógłbyś pan narysować tych kwiatków?

— Nie jestem pewny,—odrzekł Ciupski, — zdaje mi się jednak, że były takie...

To mówiąc narysował deseń.

— Mylisz się pan,—odrzekł inkwizytor,—kwiatki te były najmniej cztery razy większe.

— Mogły być cokolwiek większe lub mniejsze,—odrzekł Ciupski,—czterykroć większe być nie mogły.

Kamizelkę jaką opisał Ciupski nosił właśnie człowiek zamordowany na Topielu. Zarzut inkwirenta zrobiony był tylko zręcznie, dla sprawdzenia prawdomówności świadka.

Nie na tem jednak się skończyło; indagujący przygotował sobie inny środek, którego Ciupski wcale nie mógł się spodziewać; w owym czasie bowiem, należy o tem pamiętać, bilety wizytowe fotografowane nie były jeszcze znane, a daguerrotypy nie były zbyt upowszechnione.

Na skinienie inkwirenta przyniesiono dość sporą paczkę.

Urzędnik rozwinął ją i rzekł do Ciupskiego:

— W śledztwie się okazało, że zabity na Topielu, był jak dwie krople wody podobnym do jednego z tych trzydziestu kilku daguerrotypów. Jeżeli człowiek, który przegrywał złoto u Ostrugiewicza, był tym zamordowanym, zapewne panu łatwo przyjdzie wyróżnić ten portret.

Ciupski nadzwyczaj starannie obejrzał wszystkie portrety:

— Pomiędzy temi,— rzekł, — nie ma nikogo podobnego do człowieka, który w dniu pierwszym Czerwca u Ostrugiewicza przegrywał złoto, — ten zaś portret jest najzupełniej podobny do gracza, który wygrał dukaty z wyjątkiem trzech, tak iż gotówbym przysiądz, że to jego portret.

W daguerotypach zabranych w sądzie, umyślnie dla zrobienia téj próby, nie było w istocie portretu zamordowanego, ani nikogo ktoby był do niego rażąco podobnym, znajdował się tylko portret Opędzkiego.

Jakkolwiek zeznanie Ciupskiego nie podlegało najmniejszej wątpliwości po téj próbie, starano się jednakże wyczerpać wszelkie możebne sposoby sprawdzenia go, nie pominięto zatem przesłuchania właścicieli sklepiku, w którym pan Soter kupował półimperjały, oraz kilku lokatorów domu, w którym mieszkał, a nawet Kryspina Koronki, który także jak i inni poświadczył, że już drugiego Czerwca Ciupski mu mówił, że Ostrugiewicz w zapłacie dał mu trzy sztuki złota, licząc je po półszósta rubla.

(Dokończenie nastąpi.)

PODRÓŻ NAD WARTĘ.

PRZEZ

Franciszka Gumowskiego.

Nasyciwszy się aż nazbyt warszawskim kurzem i wrzaskiem, znudzony ciągłym turkotem dorożek i powozów, utrudzony i rozmuzykalniony bezustannemi koncertami wokalnemi, instrumentalnemi, wokalno-instrumentalnemi i jakby na złość jeszcze gamowemi, odzywającemi się niemiłosiernie dniem i nocą nad moją głową, postanowiłem wreszcie ochłonąć z tych odurzających wrażeń, i bądź co bądź wyjechać gdzie o kilkadziesiąt mil na świeże powietrze, aby odetchnąć pełniejszą piersią, odżyć, i skąpać się w kryształowych nurtach naszych rzek, w balsamicznej woni naszych pól, łąk i gór. I kiedy wsparty na ręku, rozmyślałem, w któreby lepiej udać się strony, czy w nadwiślańskie, czy w nadniemeńskie, czy poznać nieznane mi jeszcze nadbużne, czy czarującą dolinę Prądnika ze sterczącemi skałami Ojcowa i pełnemi historycznych wspomnień grotami, nagle drzwi się do mnie otwierają, i grzeczny bryftreger list mi z poczty doręcza. Zaciekawiony, rozrywam kopertę i czytam: „Kochany Przyjacielu! Dziwne wieści rozchodzą się tu u nas o Warszawie: i tak mówią: że cholera grasuje w niéj niesłychanie, do tego stopnia, iż z obawy niestrawności nie wiecie co jeść i co pić. Z drugiej znów strony słychać, że Wisła gwałtownie wezbrała, i pozalewała wszystkie ulice, począwszy od Solca, a skończywszy na Powązkach, tak, iż całe miasto wygląda, jakby druga Wenecja. Siedzicie podobno dnie i noce w domach, grobowa cisza otacza was do koła, i nie słychać nic więcej, tylko plusk wioseł i łódek; księża nawet mają exportować umarłych na łodziach. Jeśli to prawda, zmiłuj się i uchodź czemprędzej! Uchodź do nas, w nasze spokojne okolice, tu w Kaliskie do Warty. Tu braciszku jedz co chcesz, pij choćby beczkami i nie obawiaj się niestrawności. A nasza rzeka to potulny baranek, nie srożysię, i nie grozi potopem jak wasza; jednem słowem, siedzimy tu sobie jak u Pana Boga za piecem. Więc przyjeżdżaj czemprędzej. Nie zrażaj się naszemi stronami niezbyt powabnemi, niezbyt poetycznemi, nie zrażaj się tutejszą jednostajnością, tutejszą ciszą i spokojnością, ale zdaje mi się, żeś nie głodny gwaru, wrzawy i krzyku, więc to ci jeszcze będzie na rękę; odpoczniesz i odetchniesz. Poznasz nasz lud, nasze zwyczaje, życie i zabawy, i ręczę ci, że nie tylko w Warszawie, ale i w małem miasteczku, ale i w Warcie ubawić się można. Biorę to już na swoją głowę. Nakoniec, ważny bardzo interes, koniecznie wymaga jak najprędszej twojej u nas obecności, tak, że bez ciebie obejść się tu na teraz nie możemy. Pożegnaj więc czemprędzej wilgotne swoje mury i przybywaj choćby na skrzydłach w nasze suche równiny. Oczekujemy cię z niecierpliwością. Twój do zgonu — Wacław K."

Skończywszy czytanie listu, uśmiechnąłem się mimowolnie nad owemi prowincjonalnemi wiadomościami; bo choć prawda że w Warszawie pokazała się cholera, choć prawda że Wisła wylała i niezmierne tego dnia nie widział nigdy i nigdzie tegoż samego

poczyniła szkody, zwłaszcza mieszkańcom nadbrzeżnym, ale znów nie tak, żebyśmy nie wiedzieli co jeść, a co pić, i nie tak, żeby księża aż na Powązki w łodziach mieli exportować. Koniec końcem, list Wacława wbił mi nie małego klina do głowy. W Kaliskie nie miałem ochoty jechać, a tu mi pisze o jakimś nader ważnym interesie, i żem tam na coś koniecznie potrzebny.

Co tu robić?....Ha! jadę do Warty. Po drodze co będzie godnego widzenia to zobaczę, przyjrzę się, napatrzę, co zaś będzie godniejszego to i zanotuję; a tak przyjemność z pożytkiem połączywszy, sądzę, że wycieczka ta nie przejdzie mi próżno, ale owszem przyniesie niemałą korzyść, bo zdaje mi się, że nie ma u nas takiego zakątka ziemi, takiego kawałka gruntu, któryby nie był wart widzenia, i któryby zwiedzającemu nie wywdzięczył się hojnie, bądź to wewnętrznem zadowoleniem, bądź to nabytkami umysłowemi, bądź też choćby tylko samem doświadczeniem i poznaniem świata.

Pożegnania, zapakowanie koniecznych tylko w podróży rzeczy, między któremi na wszelki wypadek, kilka książek niepoślednie zajmowały miejsce, i inne tym podobne przybory, tyle mi tylko zabrały czasu, że już nazajutrz bezpiecznie mogłem udać się w drogę. Jakoż, rano o godzinie jedenastej, pociągiem kolei żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej, zakupiwszy bilet do klassy III-ej, ruszyłem z Warszawy uradowany i uszczęśliwiony.

Dzień był prześliczny. Powietrze ani było zbyt gorące, ani też zbyt chłodne, lecz łagodne i lekkie, jakby dopiero wiosna zawitała w te strony; to też prawie ciągniony przez nie, otworzyłem okno i z ciekawością przypatrywałem się migającym przed memi oczyma ogrodom, zielonym łanom, kwitnącemu zbożu i pracującym ludziom. Lokomotywa z hukiem i trzaskiem pędziła jak szalona, zdawało się, że świat się cały obraca, a kurz i dym, buchając kłębami z komina, zmusił mnie nie długo do zamknięcia okna i zaniechania dalszych po za nami obserwacji. Usiadłem tedy jak najspokojniej na ławie i począłem dumać ot tak sobie o niczem. Potém obejrzawszy się po wagonie, ujrzałem, że towarzystwo nasze nie pozostawiało nic do życzenia. Siedziałem przy jakiejś pięknej blondynce z modremi oczkami, przez które zaledwie szesnasty przebijał się roczek; za nią siedziała mała jej siostrzyczka, dalej mama, dziadzio i jeszcze jakaś pani, zapewne ciocia z tejże samej familji, bo uważałem, że kiedym usiadł przy jej miłej kuzyneczce, zmierzyła mnie zaraz pełnym podejrzliwości wzrokiem, i jak mi się zdaje, miała chęć wyparowania mnie z zajętej pozycji, lecz ujrzawszy stanowczy wyraz na mej twarzy, kapitulowała, czy też knuła coś strasznego na potém. W drugim przedziale całą jedną ławę zajęły także jakieś panie, a naprzeciwko nich siedziało dwóch podstarzałych elegantów, rzemieślnik, starozakonny i wieśniak, który wychyliwszy głowę przez okno, przypatrywał się okolicy i biegowi kolei. Sąsiadka moja żywa i figlarna dziewczyna, bezustannie prawie bawiła się i sprzeczała ze swa małą siostrzyczką, poprawiając jej na różny sposób włosy, chowając zabawki, lalkę, kwiatki i t. p. Machinalnie dobyłem z portmony cygaro, zapaliłem zapałkę,—lecz przyszło mi na myśl, że nie wszyscy może, a szczególniej damy, lubią zapach tytuniu; więc i mnie nic się przez to nie stanie jeżeli sobie na ten raz tej przyjemności odmówię. Jakem pomyślał, takem też i zrobił. Aż tu piękna blondynka odzywa się do mnie:

— Dla czego pan nie pali?

— Sądzę, że tem nie zrobiłbym paniom żadnej przyjemności.

— Ale pan się pozbawiasz przyjemności.

— Nie pani. Przyjemność okupiona kosztem niegrzeczności, stałaby się i dla mnie nieprzyjemnością.

— Dziękuję za grzeczność, w imieniu nas wszystkich. Ale powiedz mi pan tak szczerze, jaka jest korzyść z palenia tytuniu?

— Przyznam się pani, że palący nie mają żadnej. A gdybyśmy chcieli grosz na to łożony oszczędzać, z pewnością nie małe ztąd powstałyby summy. Nie jeden rzemieślnik, rolnik, lub nawet i obywatel, mógłby je daleko lepiej zużytkować, nie jeden biedak nie potrzebowałby żebrać kawałka chleba, ale cóż?..nieznośne przyzwyczajenie, nierozsądny nałóg, od którego trudno się odzwyczaić. Przyznaję pani, że nie masz w tem najmniejszego sensu.

— To dla czegóż palić? I dziwię się panu, że mając tak zdrowe o tym nałogu wyobrażenie, nie porzucisz go.

— Mnie się zdaje, że wszelki zbytek jest złym?

— Ma się rozumieć, — ależ tu mowa tylko o tytuniu.

— Za pozwoleniem pani. Jeżelić zbytek jest złym, więc żyć powinniśmy tak, aby go na nas widać i znać nie było. Jeżeli więc panie z takiem przejęciem się napominają i burczą nas o palenie tytoniu, jako o rzeoz zbyteczną,—dla czegoż panie, którym wszędzie służy pierwszeństwo, nie dadzą także ze siebie przykładu?...A coby się to zebrało grosza dla biednych, dla wdów i sierot, dla wstydzących się żebrać.......

— Co pan mówisz, przecież my pieniędzy tak z dymem nie puszczamy jak panowie. Ja nawet znieść tego nie mogę.

— Pominąwszy i nie wdając się w ścisłe roztrząsanie, ile u nas już dziś dam pali tytuń, a zatem puszcza pieniądze z dymem, pytam się pani, czy nie jest to rzeczą zbytkową, te bogate suknie z długimi na parę łokci ogonami, te olbrzymie jak wieża Babel stroje na głowie, te krynoliny, te....

— Przepraszam pana, ale pan niesłusznie do mnie pije... (*d. c. n.*)

BAŻANT.

Wyraz *bażant*, przypomina nam dwory pańskie. Ptak to bowiem drogi, sztucznie u nas zaprowadzony, wiele troskliwości w hodowaniu wymagający, i dla tego tylko dla ludzi możnych przystępny. Smaczny bo smaczny, mięso bielutkie, ale bardzo wielu tylko o tem wie ze słyszenia. Bażanty pochodzą z Azji ale z gorącej; w Chinach są najpyszniejsze gatunki bażantów. A gatunków w ogóle jest z dziesięć. Nam najwięcej znany jest *bażant pospolity*, podobny trochę do kury a więcej do kuropatwy, tylko że ma długi ogon; wielki jak kura, ale nie ogon tylko bażant. Bażant zaś, którego rysunek załączamy, zowie się *złocistym* i oprócz koloru pąsowego, złocistego, fijoletowego, zielonawego, odznacza się jeszcze czubem wcale sutym i kołnierzem ruchomym z pierza, kark otaczającym. Pochodzi z Chin. Utrzymują go także w bażantarniach europejskich, lecz głównie tylko dla ozdoby,

albowiem z powodu delikatności trudnym jest do hodowania. Oprócz tych gatunków jest jeszcze bażant *srebrzysty*, *różnokolorowy* i tak zwany Soemeringii z bardzo długim ogonem i świetnem opierzeniem, podobnem do kolibrowego.

W Europie bażant chowany jest najczęściej w bażantarniach; wolno żyje tylko na Południu, ale gdzieindziej a między innemi i u nas w stanie dzikim i na wolności nie wiedzie się; ptak to za delikatny i za smaczny, aby nie znalazł wroga, tak między zwierzętami jak i ludźmi. Zwierzęta są także smakosze. Zresztą i klimat niebardzo sobie co robi z azjatyckich przybyszów; mrozi, nie pyta. A bażant ginie i rady sobie dać nie może ot — zwyczajnie ptak arystokratyczny,—delikatny, wątły, ładny, ale do niczego, sam się nawet nie wyżywi, i potrzeba koniecznie kogoś coby mu ziarnka sypał. W tym celu urządzane są bażantarnie czyli zakłady do hodowania bażantów. Urządzają się one w parku dość rozległym, zawierającym znaczną ilość gęstych zarośli z wyniosłemi w pewnych miejscach drzewami, gdzieby bażanty mogły się stosownie do swych zwyczajów ukrywać i chronić przed ptastwem drapieżnem; prócz tego park ten powinien posiadać trawniki, łączki i wodę miejscową. Nadto urządza się stosowny budynek w oddzielnej zagrodzie, dla przezimowania bażantów na dalsze rozmnożenie, ale nie wszystkich, tylko pewnej części, gdyż reszta rozpuszcza się nawet na zimę po parku, gdzie dostarcza im się ciągle żywności i zabezpiecza od napaści ptaków i zwierząt drapieżnych.

(*Podług Encykl. Powsz.*)



Bażant złocisty.

ROZMAITOŚCI.

— **Tygrys w Antwerpji.** W zoologicznym ogrodzie antwerpskim, należącym do najlepszych w Europie, zdarzył się wypadek, który trwogą napełnił mieszkańców cyrkułu św. Jakóba. Jeden z ogromnych bengalskich tygrysów miał być wysłany do Londynu; przedsięwzięto wszystkie środki ostróżności, celem przeniesienia strasznego podróżnika do mocnej żelaznej klatki, gdy wtem nocni stróże z przestrachem ujrzeli tygrysa, który złamawszy kraty skokiem trudnym do uwierzenia, przeskoczył przez wysoką ścianę ogrodu. Pierwszą jego ofiarą był wózek jednokonny. Właściciel jego wskoczył przestraszony na swego konia, ale jednocześnie i tygrys znalazł się na nim, i udrapawszy go lekko do krwi, całą siłę swych pazurów zwrócił na biedne zwierzę, którego uprząż porwała się w szmaty. Oswobodzony koń wściekły z bólu pobiegł ku rynkowi, kędy tygrys ujrzawszy przechodzącego ogrodnika z zieleniną, porzucił konia, i rozszarpawszy nieszczęśliwego ogrodnika, długo jeszcze wlókł go za sobą. Stróże i przechodnie kryli się w domach sennych mieszkańców, a tygrys ujrzawszy podobną gruppę, już się miał rzucić w dopiero co zamknięte drzwi, ale zjawienie się uzbrojonych dyrektora ogrodu i dozorców zmieniło scenę. Tygrys zwrócił się w pusty zaułek. Tu połączyło się ze ścigającemi kilku odważniejszych obywateli, i w obec wielu napółprzebudzonych widzów, zastrzelono tygrysa, który skoczył na dach piętrowego domu.

— **Dawniejsze ceny produktów.** W jednym z tegorocznych numerów Tygodnika Mód znajdujemy ceny niektórych produktów przed 1830 rokiem. W obec dzisiejszych wygórowanych cen, ówczesne są tak nizkie, że nie możemy się powstrzymać od przytoczenia kilku szczegółów: funt mięsa pięknego kosztował wówczas 7 groszy, funt masła świeżego 24 gr., groszową bułką można się było wcale nieźle pożywić, a obwarzanek groszowy był większy od naszego dwugroszowego. Parobek na wsi był wówczas płatny 40 złotych rocznie, dziewka 15, pisarz sto, ekonom 200, a całodniowy najemnik do żniw lub cepów złotówkę, do siana zaś sześć groszy. Na wsi cielę dwutygodniowe można było kupić za cztery złote, kurę za 20 groszy, krowę za 9 rubli, konia lub wołu za 15, korzec pszenicy za 2 ruble, żyta za 4 złote.

— **Złodzieje psów.** Pisaliśmy w roku zeszłym w Opiekunie Domowym o złodziejach psów. Obecnie wyczytujemy w dziennikach: że w Antwerpji, skutkiem licznych skarg na tych przemysłowców, policja dwóch złapała na gorącym uczynku. Przyznali się, że oddawna zajmują się łapaniem psów i że to bardzo korzystne rzemiosło. W roku 1866 ukradli dwieście psów; skórę ich przedali do sklepów z zabawkami na dziecinne bębenki, a mięso massarzom na kiełbasy. Z tłustości zaś psiej wyrabiali wyborną pomadę, od której włosy mają rość bardzo szybko.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowej—Redaktor: Adam Mieczyński.